1. czerwca. Nr. 16. Rok 1861.

Czytelnia dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od oplaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt, półrocznie 2 zł. 20 cnt, ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Imię i narodowość. *)

Wprowadzam was do wnętrza starożytnej zbrojowni. Na murach wiekami poczerniałych rozwieszają się rdzawe koncerze i bułaty, strzaskane paiże i szczerozłote napierśniki, a tam stoją rzędem kusze, muszkiety, jańczarki i bandeloty pancernych. Grobowe, ciche tu powietrze, ale takie wspomnieniami ciężkie, że ciebie, dziecię nowych wieków jak Pigmeja przygniata do ziemi, i każe proch całować z owych płyt kamiennych, kędy się z dumą spierają te wielkie szczątki olbrzymiej przeszłości?

Lecz nie, nie korz się pod naciskiem wspomnień potomku mężów, co tę zbrój oblekali na się, co te oręże przypasywali do swojego boku. Podnieś dumne czoło, zbliż się, oderwij kitę z kosztowną zaponą od ojcowskiego szyszaka, i omiataj nią wiekowy kurz z tych zbroic. Patrz, na każdej widzisz plamy rdzawe, a choćby takie jak jedna tylko kropla.... Patrz potomku świetności zamroczonych wieków, to krew twoich przodków, to krew twoja!

I spojrzał młodzieniec o wyniosłem czole i o bladem licu po tych rdzawych plamach, i powtórzył z dumą: To krew moja! — I szedł dalej między ludzi, i bił pokłony imionom przeszłości, i dawał dłoń przyjaźną ludziom krwi dawnej: a gdy spotkał człowieka z imieniem nowem, które on sobie własną krwawicą wywalczył, to spoglądał nań z pogardą i z lekceważeniem.

I szedł młodzieniec dalej, i nie czuł jak ta krew przodków w nim krzepnie, bo nikt mu nie wskazał jasno, że ukochał kościotrupa przeszłości, że zamknął śmierć w swem łonie. A gdy go umęczyła podróż śród nowego świata, wtedy usiadł na odłamie grodu starego, i twarz obrócił wstecz ku przeszłości, i było mu wtedy Imię życiem i duszą żywego narodu!

A ja, dziecię ludu, leżałem wonczas na posłaniu z wrzosów i macierzanki śród rodzinnych borów, i jakiś lęk dziwny ścisnął mą pierś chłopięcą, bo myślałem w duszy: Boże mój, czyś ty dla tego tylko stworzył część tych ludzi, aby chodzili zawsze w koło siebie jak owce kołowacizną dotknięte? Czyż zawsze mają oni oddychać pleśnią i pyłem przeszłych wieków; czyż nigdy nie dozwolisz im zaczerpnąć w piersi balsamicznego powiewu, nowego, młodzieńczego życia.

I choć widziałem malowane cacka: herby, i złote napierśniki i światłem bijące zapony, to przecież ukląkłem i modliłem się gorąco dziękując Stwórcy, że mi dał herb większy od tamtych, bo całą ziemię rodzinną, a na niej wszystkie sioła i wszystkie śpiewki i skazki słoneczne, senne i tęczowe.

I lęk ustąpił z mej piersi; skłoniłem głowę między wrzosy, a babka macierzanka wonną kołysanką tuliła mię do snu. I zasypiając myślałem znowu: — Nie, Przedwieczny najczystszą jest sprawiedliwością, on nie mógł tak niesprawiedliwie na męki wiecznej wsteczności skazać część rodu ludzkiego! Moi starzy we wsi żartem tylko mówią, że Bóg świat stwarzając ulepił z gliny Adama a z pszenicznej mąki ludzi krwi i herbu. Złośliwość ich przekręca w ten sposób wymysł czysto ludzki.

A oto w tej chwili ukołysał mię do snu pieszczotny szczebiot rudzika, owego ptaszka, którego zoologia królikiem ironicznie nazywa, chyba dla tego, że jest najmniejszym pośród lotnej dziatwy Europy...

Sny są ciekawe. Mogą je opowiadać ciocie i babcie przy rannej herbacie, czemuż bym i ja nie miał mego opowiedzieć. A sen był obszerny; wszak miał miejsca dosyć, bo pół ziemi i pół nieba stały mu areną.

W starym dworcu modrzewiowym siedzi pan Bartłomiej z Paprockiej woli, podczaszy ziemi dobrzyńskiej, i przewraca stare pergaminów foljały, a przed nim garniec pisany gwoli rozbudzania strudzonej fantazyi.

Przewraca pan Bartosz stare pergaminy, a w nowych zapisuje szybkiem piórem dziwnie dowcipne rzeczy, o gniazdach polskiej cnoty. Świeci się już grzecznemi litery wyrobiony napis: „Herby rycerstwa polskiego"; skończona olbrzymia praca, pan Bartosz spisuje jeszcze indeksa, sztucznie zawijane kładąc inicjały.

I zdało mi się wonczas, żem przystąpił do pana Bartosza, a stanąwszy mu za plecyma, wyczytałem słowa, co płynęły z szybkiego pióra na białe pergaminy.

---

* W nieobecności redaktora zaszły usterki tak w układzie artykułów jak i w korekcie. Z powodu tej niedokładności wkradł się obok innych mały szczątek artykułu: „Imię i narodowość." Nie chcąc psuć wrażenia całości, pozwalamy sobie przytoczyć tu na powrót ten mały początkowy ustęp. P. R.

— Jakto? — zawołałem oburzony odskakując od stoła— Co waść tu piszesz, w tych indeksach?

Pan Bartosz zwrócił głowę powoli i popatrzył na mnie, a w oczach jego czytałem zdziwienie i politowanie. Rozgniewało mię to jeszcze mocniej.

— Cóż Waść myślisz żem opętany — krzyczałem coraz bardziej — A toć patrz coś tu napisał: Veidelich, Veimrich, Veinde, Viesitius, Viland, Vondzam, Vorain, Walcer, Waldorf, Walknod itd., toż mają być gniazda polskiej cnoty?

Zaśmiał się rubasznie pan podczaszy dobrzyński, i nachylił pisanego garnca.

— Waść gdzieś chyba z księżyca przychodzisz, kiedy nie wiesz, że w naszej Polsce zawsze to lepsze co zagraniczne.

Chciałem w tej chwili skoczyć z oburzenia... lecz obudziłem się, i zaraz przyszedł mi na myśl ów młodzieniec o bladem licu i wyniosłem czole.

Dziwnie, dziwnie, myślałem sobie, jakże on może spoglądać z pogardą na ludzi, którzy nowe noszą imię, jakże on może wyłączać ich z narodu, dla tego, że się nie zowią podobnie Zamojskim, Potockim, Tarnowskim: kiedy sam w swej rodzinie herbowej cudzemi imiony się szczyci. Chyba mądrość wasza nie jest mądrością; chyba księga pana Bartosza, ten talmud, ta biblija szlachecka jest zbiorowiskiem samych intruzów? —

I nie miałem wtedy w sobie i koło siebie żadnej odpowiedzi.

Lecz nie! Sen mara, Bóg wiara — przejdźmy do rzeczywistości.

Znacznie później, gdym już był starszy, a sen ów stał mi ciągle na myśli i trapił nieraz biedną mą głowę, zabrałem się na prawdę tak do pana Bartosza jak i do księdza Kaspra *) jezuity, aby dotrzeć raz do pewnych rezultatów. Więc przechodziłem szeregiem wszystkich wysokich dygnitarzy, zastanawiając się nad ich imionami.

I czytałem tam:

Morsztyn, poprzód Mondstern z Niemiec; Pac, poprzód Pazzi z Włoch; Guldensztern z Szwecyi i Danii; Cema „w Prusiech dom starożytny"; Cetner, z niemieckiego Szląska; Denhoff z Inflant; Herburt z Morawy, Boner z Helwecyi; Fleming z Turyngyi i z Pomeranyi: Fogelweder z Niemiec; Szembek, Wolff, Tyzenhauz, i tak dalej i tak dalej.

I pomyślałem wtenczas w duszy: To niemieckie, włoskie, szwedzkie i któż wie jakie więcej kolonie herbów!

Lecz zdanie to nie jest już nowością, więc nie myślę tu wcale dowodzić, że herby są wynalazkiem zagranicy. Słowiańskie narody w pierwotnej swej wielkości wyższe były nad tę dziecinną próżność; tarcz nie używali, bo naga pierś służyła im do obrony ziemi ojczystej, więc i blacha, próżna błyskotka lub przydomek, nie mógł im być nagrodą ofiarnczego męztwa!

Któż więc ci, którzy na mocy imion przywłaszczają sobie jedyne prawo być narodem? czyż sami przybysze?

Tak jest, to imiona przybyłe, to kolonie zagranicznych tarcz i przydomków, a te nie mogą stanowić narodu.

Naród nie jest licznem zbiorowiskiem imion; pojęcie narodu jest za święte, by go mogła przedstawiać lśniąca wystawa blask malowanych! Narodem jest albo wszystka dziatwa zrosła na tej ziemi i jedną myślą, jednemi nadziejami, i jednym celem tchnąca — albo nie ma narodu!

Dotychczas zbiór tradycyi pojedyńczych rodzin, a tem samem pojedyńczych imion, był historyą narodu; lecz jakkolwiek działo się to w duchu minionych wieków i silnie o wyobrażenia społeczne tej przeszłości było oparte, działo się jednakże niesprawiedliwie, z uszczerbkiem większej części społeczeństwa. Gdzieś od niemieckich *raubritterów* przyswojona blacha utworzyła różnicę w słowiańskich pokoleniach, stworzonych bez różnicy na obraz i podobieństwo boże. I zaczęły się dzieje wyuzdanej samowoli z jednej, a cierpkiej niewoli i wstrętnego naturze ludzkiej poddaństwa z drugiej strony.

Lecz dzisiaj, wybladły potomku hetmanów i wojewodów! nie krew, nie blacha i nie imię są warunkami do przedstawiania narodu i do przewodniczenia mu. Przewodnictwo imion zaprowadziło naród do grobu; dziś w wilgotnych podziemiach, przy brzęku kajdan, opłakuje on niesprawiedliwość wieków. Ale przyjdzie chwila, gdzie zmyje wrzącemi łzami tę czarną plamę przeszłości, i podniesie młodzieńcze ramię, i świeżym białym puchem porośnięte skrzydła....

I wtedy, albo imiona na dawnych swych przesądach oparte nie będą mogły wejść w żywy i nowy skład narodu, bo podstawą jego będzie lud powołany do życia z cierpień, niewoli i poddaństwa: albo się stanie

.... tylko jeden cud:
Z szlachtą polską, polski lud. (*D. n.*)

---

*) Niesieckiego.

Krzyż a Miecz.

Rozwiążmy usta wszem gwiazdom w cześć,
Bo Pan nas święci ogniowym chrztem,
Bo w archanielską znurzany wieść
Każdy ból nowy staje się snem,
Bo już świat stary jak Jericha turmy
Wali się w gruzy na głos Twojej surmy
Tobie na chwałę Ojcze nasz!
Tobie na chwałę Ojcze nasz!

Pierwsza to Panie giniem bez skarg,
Bo nam ofiarna krew płynie w jaw,
Więc Cię tysiącem sławimy warg,
A Ty odwagą błogo nas sław,
Aby był zbawion gdy wytrwa do końca
Twego imienia Twój naród-obrońca,
Twego obozu przednia straż!
Twego obozu przednia straż!

Z niebieskich progów Ty schodzisz już,
To my spokojnie idziem na sąd
Niosąc krew naszą zlaną do krуż;
Więc nas zapytasz: Dzieci, a skąd?
— Z Polski o Panie! z głodu i pragnienia,
A niesiem mirrę na całopalenia
Byś nam ojczyznę Panie dał!
Byś nam ojczyznę Panie dał!

A Ty nam rzeczesz: „Wiernyś ty lud!
Idź w bój ostatni wrogom na kres."
Więc miast chorągwi poniesiem wprzód
Dzbany krwi naszej i dzbany łez,
A gdy nas przypize poganów plemię
Wtedy roztrącim dzbany o ziemię,
By nowy hufiec z tej krwi wstał!
By nowy hufiec z tych łez wstał!

I z szczytu naszych mogilnych gór
Ogłosim ludom sojusz i mir,
I zlecim z szumem orłowych piór,
Nie z brzękiem stali lecz z brzękiem lir,
A jeśli przyjmą naszą pieśń z urazą
Czy nam w dłoń włożysz zamiast strun żelazo
To już ojcowska Twoja rzecz.
To już ojcowska Twoja rzecz.

Wówczas hetmaństwo weźmiesz już sam,
A nam dasz Panie pioruny Twe,
I nam co krzyżem zmyli się z plam
Każesz wytępić Sprośne i Złe,
I świat zamarzy o strasznych aniołach
Co na sodomskich siedzieli popiołach.
A hasłem naszem: krzyż a miecz!
A hasłem naszem: krzyż a miecz!

Kornel Ujejski.

Dziewczę z Sącza,

rzecz mieszczańska z wojny szwedzkiej r. 1655.

Wierszem przez

Mieczysława Romanowskiego.

Lwów 1861.

(D. W.) Jeśli już tyle dziwactw płazem uchodzi na tym bożym świecie, to pozwólcie przyjaciele i mnie podziwaczyć trochę i zestawić *Dziewczę z Sącza* — z Napoleonem. Uprzedzam jednak zawczasu że aspirując tylko do dziwactwa a nie do czubków, nie myślę bynajmniej porównywać wojskowego i politycznego gienjuszu nowoczesnego Cezara z przymiotami białej sandeckiej dziewczyny; chcę jeno przeprowadzić moje porównanie pod względem zewnętrznym, od zestawionych postaci niezawisłym a jednak nieskończenie ważnym, pod względem — szczęścia tego szczęścia, które samowładnie rozdaje patenta na sławę lub niepamięć i które etymologowie nie darmo wyprowadzają od *czasu* (*s'czastie*), bo ten tylko ma szczęście do świata i ludzi, kto pojawia się w swoim czasie i z czasem swym idzie.

Owoż wyobraźmy sobie Napoleona rzuconego w wiek szesnasty albo siedmnasty. Gieniusz jego nie byłby przemógł dążności czasu, nie byłby wycisnął na dziejach swego znamienia, lecz byłby się rozprysnął na awanturnicze bez jutra działania, lub zabłysnąwszy w wojnach monarchów kilkoma zwycięztwy, uśpił się potem pod jeneralskiemi szlifami lub pod uniformem konstabla. Napoleon stał się Napoleonem, bo przyszedł w swoim czasie, w czasie rewolucyi.

Inaczej stało się z *Dziewczyną z Sącza*. Przyszła ona nie w swoją porę. Kiedy przed trzema, czterma laty w czasie ciszy i spokoju każde nowe literackie zjawisko było u nas interesującem powszechnie zdarzeniem, a Warszawa ta boleją̨ca dziś stolica polskiej umysłowości tylko sztukami pięknemi zdawała się oddychać, wtedy utwór p. Romanowskiego szeroki i zasłużony byłby znalazł rozgłos. Ale przeznaczenie kazało się pojawić *Dziewczęciu z Sącza* w chwili gorączkowej niecierpliwości, w ważnej dziejowej dobie, która wszystkie myśli spółczesnych absorbuje. Nie poematów chce świat dzisiejszy ale gazet i telegramów, nie piękna ale nowin, oczy jego nie w przeszłość ale w przyszłość zwrócone, a słuch woli nawet zgrzyty, jeśli tylko śpiące budzą echa, niż najharmonijniejsze symfonje, które jeno w sercu tkliwych słuchaczy a nie w życiu oddźwiękną.

Poemat p. Romanowskiego przyszedłszy na świat pod tak nieszczęśliwą gwiazdą i nie zyskawszy dotąd rozgłosu i uznania, może jednak śmiało się szczycić że na lepszy los zasłużył. Przyjdzie i jego czas a przyjdzie tem pewniej, ile że *Dziewczyna z Sącza* acz odepchnięta po macoszynemu od chwili w której żyjemy, jest jednak niezaprzeczenie jej córką i nosi rysy swej matki. — Są w niej wulkaniczne żywioły, są burze i walki sercowe i zewnętrzne. Nawet bez daty położonej przy końcu powieści można było poznać, że *Dziewczę z Sącza* musi być owocem ostatnich lat.

Oparł p. Romanowski swą powieść o straszną dla Polski chwilę, w której dziedzina Piastów i Jagiellonów drżała w swych podwalinach i prawie cudem tylko ocalała. Była to jakoby przestroga Opatrzności, przestroga zrozumiana niestety tylko od samego Jana Kazimierza, a wnet potem puszczona w niepamięć. Wojska szwedzkie, moskiewskie, brandeburskie, kozackie, siedmiogrodzkie zalewały całą prawie Polskę, rozdartą fanatyzmem, niezgodami i prywatą, opuszczoną od sprzymierzeńców i od dyplomacyi, której na swą zgubę już wtedy zaufała. Nieprzyjaciele nie chcieli poprzestać na przemijającym już wówczas zaborze, ale knuli między sobą plany rozbioru, a żywotnym zaprawdę był naród, który z takich niebezpieczeństw podźwignąć się zdołał.

P. Romanowski nie pokusił się jednak o oddanie całego tego dramatu, nie wyśpiewał epopei pełnej światła i cieni, zapału i powagi, cnót i zbrodni, motywów poetycznych i wielkich nauk dziejowych, lecz uchwycił jeden punkt ogromnego obszaru, jedną wibrację fali i stworzył poemat czyli jak sam skromnie powiada „rzecz", mającą za widownię mały zakątek kraju, a koncentrującą przecież wszystkie cierpienia i namiętności wzruszające całą ojczyznę — stworzył powieść historyczną mającą wszystkie warunki trzech Arystotelskich jedności, powieść z czasów szlacheckich, w której przecież na lekarstwo nie znalazłbyś szlachcica.

Nie demagogja jednak powodowała w tem autora. Znalazł on w kronikach fakt, który sam się zdawał prosić aby go ująć w ramy poematu, a był czynem przez same polskie mieszczaństwo i chłopstwo dokonanym. Miasta-bo polskie zaczęły wówczas przychodzić do patryotycznego poczucia i stawać się arterjami narodowego życia. Podczas gdy w szlachcie dopiero po długich i boleśnych doświadczeniach odżył zbłąkany zmysł polityczny i szczeropolskie uderzyło serce—podczas gdy województwa albo przechodziły bez walki na stronę zwycięzcy albo tylko na formalność elekcyi nalegały, miasta polskie opierały się i walczyły. — Dość że tu wspomnę o Lwowie i o pruskich grodach, bo w Częstochowie przeważał żywioł religijny. — Jest jednak ustron-

*

ne miasteczko, któremu się w tych walkach jedna z najpiękniejszych kart należy i które pomiędzy najpierwszemi dało hasło do zrzucenia nieprzyjacielskiego jarzma. Mieszczanie Sącza uderzyli na stojącą u nich szwedzką załogę i z pomocą okolicznych chłopów po krwawej walce wyparowali ją z miasta.

Do zdarzenia tego przywiązało się podanie, które niesie, że mieszkańcy Sącza wzięli się do broni na wieść, że Szwedzi potajemnie rzeź im gotują, i że wieść ta doszła do ich uszu tą samą drogą, którą tyle już tajemnic się wykryło, drogą miłosnego zwierzenia. Dziewczyna sandecka kochała szwedzkiego oficera, oficer chciał ją ocalić i wtajemniczył w skryte plany komendanta załogi, a zawiadomione o wszystkiem dziewczę uprzedziło mieszczan. Oto temat powieści p. Romanowskiego.

Widzę już jak niejeden z fantastyczniejszych a oraz wierszujących czytelników zazdrości autorowi tego tematu. Jakieżbo tutaj dla gorętszej głowy poetyczne motywa! co za kolizye! co za walka sprzecznych uczuć! a ta dziewczyna jakaż to bohaterka! Walczy w niej miłość kochanka z miłością ojczyzny, a dziewczę poświęca kochanka, bo on jest nieprzyjacielem kraju, poświęca rojenia szczęścia, bo tak każe ojczyzna!

Jeśli z tej strony pojąłeś temat tego poematu miły mój czytelniku a poczuwasz się przytem do wieszczych natchnień, to p. Romanowski cię nie ubiegł; ujmij więc lutnię i śpiewaj. U p. Romanowskiego wybawicielka Sącza jest sobie Basią czerpiącą wodę w polewany dzbanek, pomagającą dziadkowi przy szynkowaniu napojów w gospodzie, nie wybiegającą myślami poza czarne mury Sandeckie. P. Romanowski kazał jej ocalić rodzinne miasto przez jakiś instynkt, przez jakiś rodzaj szałowego natchnienia; nie zrobił z niej jeszcze Polki-obywatelki, równie jak nie pozwolił jej złączać walki z dwoma równocześnie uczuciami, a nawet o zgrozo! był do tyla niepoetycznym, że ani razu nie nazwał jej posępnie „dziewicą,“ ale tak po prostu dziewczęciem albo dziewczyną!

(Dokończenie nastąpi.)

Przechrzta,

napisał Elpidon.

I w śmierci waszej będzie zwycięztwo.

Wstęp.

Szumem mych pieśni na sen uśpiona
Rzuć mi na szyję białe ramiona
O jasnowłosa i leć — leć ze mną.
Przez otchłań wieków minionych ciemną.
Przelecim razem na skrzydłach drżących
Jak dwóch aniołów, jak spadających
Dwoje gwiazd z niebios. Pokażę tobie
Na zapleśniałym pokoleń grobie
Naród bez gr bu jak Aschavera
Cień, co konając wciąż, nie umiera,
I wśród narodów nuci pieśń smutną
O swej ojczyźnie, o Palestynie—
I prześladowań śmiercią okrutną
Padając — wierzy w to: że nie zginie.
A na tło wieków krwawe i smętne
Rzucę dwa serca na bagna mętne,
Dwa ognie z nieba — bolami zmięte,
Dwa potępione, a jednak święte.
I one wierzą, że ich lud biedny
Nie umrze w śmierci ludów powszedniej,
Że nie rozmiotą go uragany
I wzgarda, którą cały oplwany;
I ustawiczne męki, cierpienia,
W gruz nie zatrącą jego istnienia.
Wierzą, a jednak po nad tą parą
Przekleństwo wisi i pierś im krwawi —
Bo rozbrat wzięto z umarłę wiarę.
Co Izraela więcej nie zbawi.

I.

Gorące słońce rozkoszuje na bezchmurnych niebiosach. Gorącym, namiętnym pocałunkiem wita Grenadę, ale Grenada nie ma dzisiaj odśmiechu na miłośne spojrzenia kochanka, ona dzisiaj smutna, oniemiała z boleści i bezsilna nie wygina ku niebu białych ramion świątyń i pałaców, bo zwycięzki miecz napisał na jej upadających bramach: „niewolnica.“ Podarte wieńce pomarańczowych gajów tarzają się w kurzawie gorących piasków i podeptane nogami zwycięzców płaczą za spokojnych dni urokiem, za dawną krasą Grenady. Roztrącone pałace dymią w niebo gorzkiemi dymami i rozwalonych murów szkielety patrzą tęskno za Maurami, co już giną w błękitnej oddali. Po sinem morzu płyną oni jak łańcuch szumiących żórawi i targają rozpacznie długie brody klnąc Giaurów, co im wydarli roskoszną Grenadę. I z minaretów upadły z jękiem złote półksiężyce proroka, a czarne krzyże chwalą się światu zwycięstwem Ferdynanda i Izabelli.

Mauretańskich świątyń marmury drżą trącone pieśnią na cześć nieznanego Boga, a przy połysku świec i wśród błękitnych dymów kadzideł klęczą rycerze w żelaznych zbrojach kurzawą walki biali jeszcze i pokutnie biją się w piersi. W cieniu wysmukłych kolumn jaśnieją białe szaty kapłanów, ale na pomarańczowych ponurych ich twarzach nic tylko — groza! Lecz tam — tam na stopniach ołtarza, jakiż to człowiek klęczy zapatrzony w twarz cierpiącego Chrystusa? Biała szata katechumena na nim, a pęk słonecznych promieni co przez wzorzyste okna wpadł do świątyni, zlał się po jego hebanowych włosach, że wyglądał jak święty wśród blasków. Lecz kiedy cichnął śpiew ludu w kościele i ponad modlącym się tłumem przeciągał szmer dziki, straszny, co jak wzburzone fale tłukł się o mury świątyni — wtedy modlitewne słowa upadały z otwartych, drżących ust nowochrzczeńca i on drżał wtedy jak ziemia, gdy pod nią kipią wulkany; — cierpkie zmarszczki łamały w cienie jego białe czoło i konwulsyjnie zaciskał dłonie w prośbę, bo ten przeciągły niewyraźny szmer ludu za świątynią, to było przekleństwo jemu od ludu, którego wiary się wyrzekł. Nikt nie rozumiał tych boleśnych szamotań — tylko jedna dusza, jeden wzrok wisiał jak biały gołąb nad bolesną duszą przechrzty, i przeczuł jego mękę i bolał z nim

razem. To Francesco przyjaciel żyda, apostoł jego nowej wiary, jego ojciec chrzestny. Dziwna rzecz: Francesco niczego więcej nie pragnął jak widzieć Michaela u stóp tego Boga, którego sam wyznawał, a dziś gdy widział chłodne marmurowe oblicze kapłana, kiedy słyszał złorzeczenia żydów, co wytrącały Michaela na zawsze z jego przeszłości, zadrżał obawą, czy Michael nie przeklnie kiedyś tej chwili i jego z tą chwilą. Tak dumał Francesco, a zwątpienie jak dym przeciągało po jego duszy.

Skończyło się nabożeństwo. Lud się rozszedł z szmerem konających pacierzy i wielka, wieczysta cisza rozsiadła się znowu po murach świątyni. Michaelo wstał ostatni, zbliżył się do Francesca, i wzruszony tulił się ku niemu płacząc niemęskim płaczem:

— „Co ci Michaelo?“ — spytał Francesco.

— „Słyszysz“—rzekł nowochrzeniec i w tej chwili nowy szmer wpadł do świątyni i zawył po jej pustych murach.— „Przeklinają mnie!“

— „Ty żałujesz twej przeszłości i wiary twojej?“ spytał z wyrzutem lekkim Francesco.“

— „Żałuję?“—rzekł Michaelo i wielkie, ciemne oczy podniósł zdumiony na swego przyjaciela. — „Żałuję? — o nie Francesco. I cóżby mi broniło zrzucić z siebie jarzmo krzyża i zetrzeć z czoła święte znamiona oleju, gdyby wiara stanęła przeciw memu przekonaniu? Ale ja wierzę, że ta wiara jest świętą, wielką, i blask jej zaciemnił wiarę ojców moich, bo wiara moja dziwnie zużyła się w długiej pielgrzymce wieków, jako szata noszona i laty zabobonów na niej znać. Więc bez żalu wyrzekłem się tej wiary, co nie była we mnie i poszedłem za tobą. Jeno mi żal miłości ludu mojego, co teraz nie pamięta o mnie, chyba pragnieniem zemsty; żal mi ślepego ojca i matki, braci, których mi teraz uścisnąć nawet nie wolno, by ich nie zrobić dziedzicami mojego przekleństwa. O Franceso! to bardzo boli.“

Mówił przechrzta — nagle przestał nadsłuchając —

„Tu ktoś jest“ rzekł do Francesca i przykre uczucie jakby dotknięcie śliskiego gadu przeszło po nim. Ale Franciszek uspokoił próżną obawę Michaela, bo Francesco nie słyszał cichego stępu mnicha w zagmatwanych sieniach placów. Przy drżącym migotliwym blasku lampy wypływała niekiedy z cieniu twarz tego mnicha ciekawa i złowróżbna. Ale Michaelo nie widział tego i uspokojony mówił dalej:

„Strasznie to wiedzieć, że własny ojciec pierwszy rzuci przekleństwo na moją biedną głowę! U niego nienawiść dla chrześcian gra w każdym oddechu. W ostatni sabat pamiętam zawołał mnie ojciec i młodszego brata do siebie i głaszcząc nas po twarzach pytał: „Ażali jeszcze widać Goimów namioty pod miastem; a gdy mu młodszy brat powiedział, że Maurów wargi pobladły od trwogi i głodu, że osłabiony lud myśli o poddaniu — rozpłomienił się stary od boleśnego wzruszenia i milczał długo w smutnych myśli natłoku, potem wziął nas za ręce i rzekł: to nic, to nic! Choć Grenadów bramy roztrzaskane padną na wznak przed Goimami — to zwycięzkie ich pieśnie zcichną wnet wśród zatrutych biesiad, i po ich twarzach pokurczonych z boleści deptać będziemy idąc do świątyń dziękować Jehowie. Wszak prawda, że wy to zrobicie?—Cichy szept o otruciu wyjdzie z waszych ust i poruszy do zemsty śpiące w smutku dusze Izraela. Przysięgniecie mi na to? — a gdym drżał od grozy tych słów, co nie miały w sobie chrzestu miłości, on wstrząsając mą rękę mowił: „ty drzysz? czemu? Pamiętasz Walencyę, kędy Sara siostra twoja z wzdętych płomieni wołała na nas o ratunek. Michaelo! powiedz czemu ci ludzie nie drzeli wtedy, kiedy niebiosa drzały grzmotem i płakały nad nią deszczami? O! w tamtej chwili przekląłem Goimów strasznem przekleństwem — przekląłem tych, co żyją i tych co gniją pod mogił nakryciem, i tych, co w łonie matek śpią poczęte i tych, których zbrudziło dotknięcie Goima albo myśl Nazareńczyka. — Tak mówił mój ojciec, nie wiedząc, że własne dziecko przeklinał. Ale potem był znowu dziwnie dobry; mówił nam wiele o tułactwie naszego narodu, o nadziejach naszych. — A matka moja w on wieczór, gdym wychodził na spoczynek całowała mnie długo, gorąco, i odprowadzała mnie ku drzwiom głębokiem rzewnem spojrzeniem ciemnych oczów, jakby przeczuwała, że nie będzie już więcej jadać ze mną pod siedmio-ramiennym świecznikiem. O dziwny ja sierota bez ojców mogiły!“ — Skończył Michaelo i długo milczący spoczywał na piersi przyjaciela, co mu teraz był matką, ojcem, rodziną.

Chodźmy, już późno — rzekł po chwili — cienie śpiące u stóp ołtarzy wstały już i idą cicho po ścianach.

W tej chwili szata biała zaszeleściała znowu w ciemnych portykach kościoła. Michaelo i Francesco obejrzeli się, ale mnicha już tam nie było.

— Czekaj — rzekł Francesco — wyjdę zobaczyć ażali mściwy twój lud nie czeka na ciebie z kamienną śmiercią u bram kościoła.

I wyszedł. Na ulicach Grenady cisza wieczoru — na ciemnych głębinach nieba paliło się kilka gwiazd iskrzących i chłód nocy opadał na wilgotne kamienie. Francesco już chciał wracać, gdy w tem urwany i znać siłą stłumiony krzyk Michaela rozdarł ciszę nocną. Francesco siłą rozpaczy rzucał się ku drzwiom, ale zatrzaśnięte silnie żelazne drzwi urągały rozpacznym wysileniom Francesca. A Michaela wleczono tymczasem w lochy świętej inkwizycyi, gdzie rozpięty na torturach czynił boleśne wyznanie wiary, oskarzony przez białego mnicha.

II.

W synagodze przed księgą świętą stoi żyd bosy, białą płachtą nakryty, dwa palce trzyma na księdze i obrócony ku wschodowi słońca mówi głosem drżącym słowa przysięgi, co się strasznem echem kłóciła z sobą po szarych ścianach synagogi wśród powszechnej ciszy.

„Na te księgi święte — na to prawo, które Bóg dał Mojżeszowi na górze Synai przy strasznej muzyce piorunów, klnę się żem widział oczami swojemi, jako kapłani Nazareńczyka lali przeklętą wodę chrztu na głowę Michaela Bendawida i jako on nie przynaglony ani ogniem, ani mieczem, dobrowolnie wyrzekł się wiary ojców swoich. A na prawdę słów moich klnę się klątwą straszną. A jeżeli kłam jest na

ustach moich — niech mnie opadnie trąd, ogień niebieski niechaj mnie spali i niech zginę jako Sodoma i Gomorra niegdyś zginęła, i niech się to stanie i mnie i żonie mojej i dzieciom córek moich aż do siódmego pokolenia!“

Skończył. Drżąc usiadł na ławie. Wtedy powstał arcykapłan i pytał, czy nie ma obrońcy dla oskarżonego? Z tłumu ludzi podniósł się starzec jak gołąb siwy z ślepą twarzą. To ojciec Michaela. — Co powie? Na ramieniu synów sparty przystąpił starzec przed arcykapłana, wyrwał z głowy ostatki siwych włosów i rzucając je na wiatr — mówił: „Do waszych przeklęstw dorzucam garstkę zhańbionych włosów — niech spadają kamieniami na głowę tego, co nie uszanował ich świętości i odwrócił się od wiary ojca swego!“

Tak mówił starzec ślepy, a zgromadzeni na wtór jemu rzekli: „Niech będzie przeklęty!“ i wyszli przed synagogę.

U podnóża synagogi tłum żydów jak ruchliwe fale wzburzonego morza rzucał się z szumem wielkim.

Kapłani zadęli w mosiężne trąby i ucichł gwar czekając na przekleństwo. W tem z tłumu zerwał się krzyk, od którego zadrżał arcykapłan i ręce wzniesione do przekleństw upuścił w dół. Młoda żydówka, blada, ze spieczonemi gorączką ustami wybiegła na schody synagogi i rzuciła się do stóp arcykapłana.

„Ojcze! nie przeklinaj!“ wołała, bo przekleństwo twoje w dwie piersie gromem uderzy. Nie przeklinaj — on niewinny, jego Goimy zmusili, zaczarowali, ale nie na długo.“

I tarzała się u nóg jego i białych rąk zawojem zatykała trąby, co się znów odzywały chrapliwie. Dzika, szalona rozpaczą wiła się po marmurowych schodach i wieszała się u rąk i nóg starców prosząc:

„Każcie, a przysięgnę na prawdę mych słów. Zaczekajcie, a polecę i przyprowadzę go wam, przyprowadzę wam tego, cościego nazwali chlubą Izraela, przyprowadzę go na kłam tym ludziom, co błotem i potwarzą na niego rzucili.

„Myrrho! — rzekł arcykapłan ponuro — nie bluźń bratu twemu szaloną rozpaczą i niewczesną prośbą, bo brat twój przeciw niemu przysięgał.“— „On? on przysięgał? zasyczała żydówka — on przysięgał? Zesztywniała od tych słów, wygięta podniosła się z ziemi i w twarz Izaaka dwoje okropnych ócz wbiła. — „On kłamie“! wrzasnęła nagle i upadła jak kawał drzewa u stóp ojca.

A od jej słów zrobił się szmer straszny między ludem i szmer rósł i potężniał, aż uderzył o uszy arcykapłana słowami: „Ona bluźni, każ ją ukaminować!“

Wśród wrzasku burzącego się ludu milczący arcykapłan stał jak skała, z bladem nieugiętem czołem, a po głębinach jego duszy nurtowały wielkie smutki; więc zakrył płaszczem twarz swoją, aby lud nie wyczytał na niej boleści. I nie miał starzec odwagi podnieść rąk na przekleństwo człowieka, którego kochała jego córka; ale wspomnienie, że ten człowiek zaparł się miłości jego dziecięcia z rzeczeniem się wiary — ta myśl uzbroiła starca w mściwą odwagę. I dał znak trąbom po raz trzeci. Potem zaczął przeklinać, a słowa klątwy latały jak błyskawice wśród ciszy drzącego ludu:

„Klnę go wielkiem przekleństwem! Niech będą nad nim kary wielkie pogańskie, straszne! Niech się stanie ciemną jego gwiazda w obłokach! Niech będzie w bezczci i w urągowisku u nieprzyjaciół. Niech będzie wyklęty przez usta Archariela i przez usta Meszareliela! Jak trąd Gehasi niechaj będzie trąd jego! Niech wśród grobów Izraelitów nie będzie grób jego, a na trupie jego niech się gnieżdżą gady i dziki zwierz niech siędzie! I kto przytuli go w dom swój i nakarmi — przeklętym niech będzie, i ta, co go nazwie mężem, za nim! i ta co tęsknotą myśli swoich pójdzie za nim, niech...

Stanął starzec, wyciągnięte do przekleństwa dłonie upadły na dół jak uschnięte liście, bo nie miał odwagi ni siły przekląć własne dziecko.

„Kończ! kończ! — wołał ojciec Michaela — dla czego przekleństw pioruny coś rzucił bez drzenia na moje dziecko, zatrzymałeś nad głową twojego? Jeżeli nie masz odwagi i siły, to patrz na moją ślepą twarz i kończ!“

Kończ! kończ! wołał tłum u stóp synagogi.

— „I ona niech przeklętą będzie!“—zajęczał arcykapłan ostatkiem głosu i padł bezsilny na ręce syna.

(*D. n.*)

Rozmaitości.

List z nad Odry. — Sprostowanie korespodencyi z Wroławia zamieszczonej w „Czasie.“ — List akademika z Wrocławia.

Z nad Odry dnia 17. *maja* 1861.

✕ Gdy nam ktoś nieznany, daleki, obcy, w kształt zmysłowy, w wyrazy myśl naszą własną choć niewypowiedzianą przyoblecze, budzi się w człowieku jakieś dziwne uczucie nie powiem wdzięczności, bo wdzięczność i litość nie uczuciem a prostym tylko są instynktem, ale raczej nieokreślonej serdeczności w literalnem tego wyrazu znaczeniu. W chwilach takich serce potęguje w sobie daną mu władzę, łę ukochania, i kocha i brata się z całym światem tak po naszem po młodemu, po polsku. W chwili takiej ginie niewiara, budzi się dopiero co gromem nieszczęścia rozwalona ufność, nadzieja. Boć kiedy tam gdzieś pod Karpatami tak samo myślą bracia jak ja tu nad Odrą, kiedy myśl moja jest tylko echem wewnętrznem okutych w kajdany i może dlatego właśnie tak dźwięcznych, tak głośnych . . . . . choć niemych wykrzyków naszej serdecznej wiary z nad Wilji, Bugu, Wisły, — o! i kiedy tak zgodnie myślemy, pragniemy, błagamy, toć chociaż nam do wspólnej pracy, do urzeczywistnienia wspólnych zamiarów i żądań z dłonią w dłoni przystąpić nie można; toć powiadam choć bieda to hoc! bo prędzej czy później ziarno szatańską ręką na naszej siane glebie, jak w bajce Góreckiego, nam na chwałę i szczęście a szatanowi na złość i upadek wyrosnąć musi. Ustęp ten zakończę krótkiem ale szczerem podziękowaniem Wam za artykuł: „O praktyczności.“ Bóg zapłać poczciwej a tak jędrnej myśli autora.

Jeżeli kiedy, to właśnie po artykule tym poczuwam się do obowiązku dopełnienia danej obietnicy pisywania do Czytelni. Gdyby to . . . . gdybyśmy wyżej stali w praktyczności tak rozumianej jak w wspomnionym artykule, gdyby każdy z nas poczuwał się zarówno do obowiązku pracy specyalnej jak i do powinności że tak powiem polityczno-moralnych, toć by pismo podobne jak Czytelnia prawdziwej wagi w życiu naszej młodzieży nabrać mogło. — Nie ma miasta w Europie gdzieby się młodzież polska specyalnie nie kształciła, a korespondencye z każdego punktu Europy mogłyby być ciekawe dla ogółu czytelników, pożyteczne dla uczącej się młodzieży, a co najważniejsza: posłużyłyby

do zbratania tych prawie dla siebie obcych kółek polskich po całym świecie. — Czemu te dotychczas do skutku doprowadzić się nie dało? czy tylko nasze lenistwo jedyną na drodze tej jest przeszkodą? Nie— nie potępiajmy się tak bezwzględnie: leniwi jesteśmy, to prawda, ale główną trudnością w tem poruzumieniu się polskiej młodzieży uczącej się jest wzgląd . . . . ostrożności. — Gotów jakie nowy Baerensprung lub Niederstetter pochwycić ten ostatni wyraz i zakrzyczeć zwycięzko w obec zebranego areopagu drżących ze strachu przed widmem „polskich konspiracyi“ kupców Wrocławia i piwowarów Berlina: Oto macie, czytajcie! głośno mówią że trzeba być ostrożnymi! czyż to nie wyraźny spisek? — Rzecz prosta, że ci sami panowie mówienie po polsku, noszenie rogatej czapki, pracę, również spiskiem nazwą; jednem słowem spiskiem jest u nich zarówno ostrożność i legalność, jako dowody rosnącego w nas najrewolucyjniejszego żywiołu, rozumu narodowego— spiskiem wszelka zewnętrzna oznaka polskości, jako jawne wystąpienie przeciw „wspólnej ojczyźnie pruskiej“. Trudno!...... daremnie usiłowalibyśmy przekonać zestrachaną gromadę, że się konspiracyi, spisków u nas nie doczeka; daremnie staralibyśmy się wmówić w ten „idealny naród,“ że ich obawy są zgodliwe z całą ich naturą, „idealnem głupstwem“. Nic to nie pomoże; wielkie serce wielkiego narodu dąsa się, rzuca i krzywi na widok naszego życia narodowego, jak grymaśny dzieciak, któremu ktoś raz pierwszy nie daje postawić na swojem. — Ta dziecinna obawa, to śmieszne zaprzeczanie faktów ducha wczorajszego czy dzisiejszego, te dowodzenia jakoby Toruń nigdy do Polski nie należał, jakoby polski obywatelstwo, (które NB. jest pochodzenia czysto azyatyckiego) pragnęło najprędszego przywrócenia poddaństwa i tem podobne śmieszno-smutne objawy rozumu w owym idealnym narodzie, są jedną z ważnych przyczyn, dlaczego młodzież polska kształcąca się w Prusiech tak milcząco, tak tajemniczo się zachowuje. — Bo trzeba wam wiedzieć, że nie tylko owa kasta, przeznaczeniem której jest niepokoić spokojnych ludzi zaprowadzaniem spokoju, — nie tylko mówię panowie Niederstettery *et consortes* mają na nas tu zwrócone oczy i drugi jeszcze nader ważny przyrząd zmysłowy, ale nadto cała wykształcona część ludności krzywo na nas pogląda. — Ot przed kilkunastu dniami poważne ciało naukowo, Senat uniwersytecki w jednej ze stolic pruskiej monarchii, zauważył na walnem swem zebraniu: „*Die Polen fangen an unruhig zu werden, sie tragen ja schon alle Trauer!!!*“ Wystawiam sobie ileby to hałasu narobiła w tem uczonem ciele wiadomość, w waszem wyczytana piśmie, że młodzież tegoż uniwersytetu trzyma 8 gazet polskich, że praeuje nad wyrobieniem języka polskiego w specyalnych gałęziach wiedzy, że — o zgrozo! pija mało piwa i żyje w ścisłem własnem kółku, nie troszcząc się o swych cywilizatorskich kolegów. — Na wiadomość taką gotówby grom straszny wypaść z łona owego arcyuczonego ciała i rozbić naszą młodą gromadkę, która śmie nietylko wspólną nosić żałobę, ale nawet wspólnie pracować, wspólnie się bawić.

Powiedźcież sami, co tu pisać w takich okolicznościach? Polak piszący ztąd korespodencye w bardzo niemiłem jest położeniu. — Musiało was to już nieraz uderzyć w korespodencyi z Wrocławia do Czasu: — „Otoż znowu mamy od dwóch dni wiatr, śnieg, deszcz“ — lub też — „Słońce od trzech dni mocno dopieka“ albo „Krzewy w ogródku pani hrabiny B. już się zazieleniły“ — i tp. — zwykły to styl szanownego korespondenta z Wrocławia, który prócz wyżej wspomnianych postrzeżeń meteorologicznych, załącza zwykle liczne wyciągiz małej Morgen-Zeitung. Korespondencye te już niejednego zdziwiły i waszą uwagę zwrócić już musiały, bo odbijają jakoś dziwnie od poważnej szaty naszego najlepszego dzisiaj pisma. Nie dziwcie się: powiedziałem wam, że ostrożność jest tu konieczną; i cóż więc dziwnego, że korespondent wrocławski jest ostrożny, że jest bardzo ostrożny, że ze względu ostrożności woli zaczepiać o niebo, deszcz, o słońce lub o święcone u hrabiny B. — aniżeli o rzeczy, które podobnie jak rogatywki lub jak wspólna żałoba kompromitują „porządnych ludzi“.

W ogóle dziwne twory płodzą głowy tutejsze pod ciśnieniem tej duszącej atmosfery ostrożności. Pomijam najbliższy dowód w mojej oto czczej gadaninie o niczem leżący, i przechodzę do innego przykładu. — Czytaliście zapewnie artykuł pana Aug. Mosbacha w Dzienniku literackim; różni różną korzyść z jednego i tego samego dzieła odnoszą; otoż między innemi ja korzystałem bardzo wiele z artykułu pana Mosbacha, bom się dowiedział, że nasz zasłużony badacz nie lubi demonstracyi!! — Jakim sposobem w artykule tym przyszła kolej na nieszczęśliwe demonstracye, tego dójść trudno To pewną jest rzeczą, że artykuł traktował o historyi, i że nieprzyjaźne uczucie jakie pan Mosbach żywi przeciw demonstracyom o tyle było w związku z wypowiedzianą myślą historyczną, ile mają związku z polityką wiadomości o bzach i tulipanach z ogródku hrabiny B. w korespodencyach wrocławskich do „Czasu.“

Kończę na tem uwagi nad dziwnemi objawami ostrożności, która tu grasuje. Mam nadzieję, że w przyszłym liście będę wam mógł coś donieść o nieostrożnych wyjątkach, które epidemii nie uległy.

(λ). Nie dawno temu stolica Szląska zasłynęła w świecie polskim z powodu uroczystego obchodu święconki wielkanocnej, którą spożyć miały rodziny polskie czasowo tu mieszkające w domu dostojnej pani hr. J. Bnińskiej, by tym sposobem w obcem mieście uświęcić narodowy obyczaj. —Święcone to głośne piórem korespondenta zwykłego z Wrocławia do „Czasu“ (No. 80), doszło do wiadomości Polaków w kraju i za granicą, i wywołało rozmaite uwagi. Nie wchodząc w czczość całego tego artykułu i w fałszywe przedstawienie rzeczy, (gdyż poważne i ponure chwile, w jakich żyjemy, czem innem umysł zatrudniają), winienem tylko położyć tamę złośliwemu a młodzieży akademickiej ubliżającemu tłumaczeniu mało rozważonego wyrzeczenia, którem korespondent zakończył obszerny swój opis wyidealizowanego uczczenia pamiątki przodków przez wszystkie (?) rodziny polskie pozostałe w miejscu na święta: „Młodzież akademicka miała osobne święcone.“ Urywkowe to zdanie dało powód do owego niepochlebnego wyłożenia rzeczy, jakoby akademicy w przedpokoju pani hrabiny dzielili się święconem jajkiem. Nic wreszcie w tem tłumaczeniu dziwnego, zdanie to bowiem tak się ma do całości, do której jest przyczepione, jak przedpokój do salonu zastawionego półyskliwemi rzeczami. Młodzież akademicka miała prawda święcone, ale u siebie, na którem nawet był szanowny korespondent; skromne ono było — ale ogólne. Nawiasowo mówiąc przyznać się muszę, że cały opis owej święconki zanadto mi przypomina nieszczęśliwy dla literatury polskiej wiek siedmnasty. Niezawodnie jest to może i wygodnie opowiadać podobne anegdotki, ale czasy nie są po temu, aby czytająca publiczność mogła się niemi zajmować i kwiateczkami — listeczkami woniejącemi i zieleniejącemi na papierze dziennikarskim napawać. Okropnie one rażą pomiędzy wybornemi i treściwemi artykułami „Czasu,“ w których się przebija myśl samodzielna, ojczysta, trafiająca do serca narodu i przekonania jego. Trzeba było szanownemu korespondentowi pójść raczej na nabożeństwo żałobne za pomordowanych w Warszawie braci, jak tam wspólna boleść wspólne nieszczęścia zgromadziły młodzież akademicką i wszystkie rodziny polskie przed ołtarz pański, jak świątynia Śgo Krzyża napełniła się Żydami i Niemcami. Była to prawdziwie uroczysta chwila — myśl narodowa jej przyświecała, wysnuta ze krwi i łez narodu. Nie było to sztuczne nastrojenie ducha, ale naturalne. Niezawodnie taka narodowa uroczysość byłaby poważniej wpłynęła na uspobienie korespodenta.

Dodać jeszcze w końcu muszę, że oprócz wymienionych przez szanownego korespondenta rodzin polskich, mieszkają tu: P. P. jenerałowa Dłuska, Richthoven, Karśnicka, Jeżewska, Jordan i pan hr. M. Bniński. —

Wrocław d. 22 maja 1861 r.

△△ Korzystając z gościnności, z jaką przyrzekliście otworzyć nam kolumny waszego pisma, pośpieszam z nadesłaniem wam słów kilka z nadodrzańskiej naszej siedziby. — Jest nas tu wprawdzie garstka tylko, ale garstka ożywiona tym samym duchem, który dzisiaj silniej, potężniej, goręcej niż kiedykolwiek objawia się na całej przestrzeni naszej starej Polski od Dźwiny i Dniepru aż po Odrę. My też w starożytnej stolicy Szląska nasuwającej nam, mimo swej dzisiejszej barwy niemieckiej, tyle wspomnień z naszej historyi, przedzieleni od kraju przestrzenią mil kilkadziesiąt, ku niemu ustawicznie zwracamy się myślą i sercem, od niego jedynie oczekujemy hasła duchowego odrodzenia, z jego świętych ran czerpiemy zapał, otuchę i wytrwałość. W czasach jak obecne, obliczenie sił własnych, skupienie tychże ku jednemu celowi nie tylko jest korzystnem, ale koniecznem; zwłaszcza że młodzież polska w braku prawdziwie narodowych wszechnic rozprószona jest obecnie po wszystkich niemal zakładach naukowych w Europie. Przesyłam wam tedy tą razą niektóre daty statystyczne tyczące się tutejszej młodzieży polskiej akademickiej.

W półroczu obecnem jest Polaków:

na fakultecie filozoficznym 12 (z tych 5 poświęca się filozofii, 2 historyi, 5 matematyce i naukom przyrodzonym.)
" prawniczym 6
" medycznym 11
" teologicznym (kat.) 1.

Suma 30.

Ogółem tedy 30 — z tych 8 z pod zaboru rosyjskiego, (prawie wszyscy na fakultecie medycznym), reszta z Poznańskiego i z Prus Zachodnich, z Galicyi nie ma nikogo. Dodajcie do tego kilkunastu Polaków pobierających nauki w gimnazyach tutejszych, oraz w innych zakładach naukowych, a ogólna liczba Polaków kształcących się we Wrocławiu wyniesie przynajmniej 50. Niesłuszniebym jednak czynił poprzestając na tej liczbie: albowiem jest jeszcze na uniwersytecie tutejszym 40 lub 50 Polaków z krainy od pięciu wieków od Polski oddzielonej — domyślacie się, że to są Górnoszlązacy. Poświęcają się oni prawie wyłącznie tylko teologii (katol.) i są umieszczeni w seminaryum duchownem, naturalnie pod surowym dozorem przełożonych. Skończywszy gimnazyum na Szląsku (gdzie, jak wiadomo, i słowa po polsku nie uczą!), dostają się oni tutaj pod pieczę i pod klucz niemieckich księży i dozorców, wywierających na nich wpływ jak najszkodliwszy. To też nie tylko *nie myślą*, ale nawet *nie mówią po polsku*! Rzecz jasna, że zostawszy duchownymi, szerzą naokoło siebie germanizm jak najskwapliwiej, i o język polski nie dbają zupełnie; a kazania ich są, jak słyszałem od wielu, mieszaniną niemieckich i polskich wyrazów. Tak tedy lud górnoszląski zostawiony sam sobie; nikt nie dba o jego narodową oświatę, a nawet o jego byt materyalny, gdyż wiadomo, że w Górnymszląsku co kilka lat panuje tyfus głodowy.—Oto błogie skutki panowania cywilizatorów (czy nie lepiej exploatorów?) z nad Szprei!—W takiem położeniu rzeczy zjednanie dla sprawy naszej choćby tylko kilkunastu księży, byłoby nieoszacowaną korzyścią dla pielęgnowania i szerzenia polszczyzny i ducha polskiego na Szlązku. To też staraliśmy się tutaj wciągnąć do wspólnego ogniska polskiego owych 50 teologów Szlązaków, by się z nich wyrobili z czasem apostołowie zasad chrześciańskich, opartych na dawnych lecz jeszcze nieprzestarzałych tradycyach historycznych. Praca to nader trudna. Zaledwie po wielu usiłowaniach udało nam się *jednego* z nich namówić do wstąpienia do naszego Towarzystwa literacko-słowiańskiego; lecz i ten po krótkim pobycie wystąpił z Towarzystwa, czy to z natchnienia swych przełożonych, czy też, że liberalne zasady i dążenia tutejszej młodzieży nie zgadzały się z jego pietystyczno-wstecznemi wyobrażeniami. Tak więc dotąd wszelka propaganda nasza daremna; nie lepiej, jak sądzę, wiedzie się naszym współbraciom kształcącym się przy szkole agronomicznej w Górnymszląsku. Młodzież polska tamże się ucząca gospodarstwa, powzięła i wykonała myśl piękną i zacną, szerzenia książek i pism polskich pomiędzy ludem na Szląsku. Jednakowoż zakres działania tych kilkunastu współziomków naszych ogranicza się zaledwie na rozpowszechnianiu książek w najbliższej okolicy ich pobytu. — Lompów, Lompów nam potrzeba! coby tam wytrwale walczyli przez całe życie w sprawie ojczystego języka, jak ten niespracowany apostół Polonizmu na Szląsku. Mimo tych wszystkich przeciwieństw lud górnoszląski przywiązany gorąco do swego języka, a jeszcze więcej do wiary swej, której po części zawdzięczamy bardzo wiele na Szląsku pod względem narodowym. Szkodliwy wpływ wywierają także peregrynacye do Wrocławia w celu zyskowniejszego zarobkowania i przyjęcia służby; cierpi na tem wiele moralność i narodowość naszego ludu szląskiego. Gdy się przechadzam nad brzegiem Odry, najmilszą mą rozrywką jest rozmowa z tratwiarzami spławiającymi drzewo od Opola i Raciborza do Szczecina — są to prawie sami Górnoszlązacy. Patrząc na ten lud zdrowy, silny mimo niedoli materyalnej i moralnej, mimowoli nasuwa ci się myśl, że w tem krzepkiem ciele musi być i dusza hartowna, gdyż słaby charakter nie zniósłby tylu ciosów zawziętego losu. — Straciliśmy Kaszubów i Szlązaków, ale pozostał nam lud, na którego tle będzie można jeszcze spolszczyć jak sądzę, tak krainę nadbałtycką, jak i tę na zachód wysuniętą dziedzinę niegdyś Piastów naszych.

Wykonanie tej myśli zostawionem będzie późniejszym lepszym czasom, obecnie zaś krępowani okolicznościami nieprzyjaźnemi powinniśmy przynajmniej starać się zachować żywioł ludowy polski na Szląsku i w Kaszubach. Zawołam „z Nadwiślaninem“: na kresy, bracia, na kresy! Mohortów brak wielki!

Rozpisałem się może za wiele nad tą kwestyą górnoszląską, że ją tak nazwę, a przez to straciłem z oka główny wątek mego założenia: miałem bowiem zamiar, donieść wam cośkolwiek z naszego życia naukowego i potocznego, Lecz jakoś to, co się ma na myśli i w sercu, mimowoli nasuwa się piszącemu; zresztą zamawiam sobie w waszem piśmie skromne miejsce na inny raz, gdy wam nieco o naszych tutejszych stosunkach napiszę. W końcu nie mogę się powstrzymać od doniesienia wam wielkiego curiosum, charakteryzującego doskonale uczonego niemieckiego.

Profesor filologii przy uniwersytecie tutejszym, mówiąc na jednej z ostatnich swych prelekcyi o powstaniu i rozwoju historycznym języków, odezwał się o językach słowiańskich i o Słowianach w sposób następujący: „Im większe naród jaki zajmował stanowisko w historyi, im więcej zdziałał dla cywilizacyi, tem więcej też starał się swój język skrócić, a przedewszystkiem odrzucić jak najwięcej przypadków i form przy odmianie rzeczowników i słów—i ztąd Anglicy, którzy najwięcej dla cywilizacyi położyli zasług, posiadają dziś tylko 2 przypadki, Słowianie zaś mają aż 6 przypadków, co jest najoczywistszym dowodem ich biernej roli w historyi, w istocie też Słowianie w historyi *powszechnej* prawie wcale nie występowali. Nawet co do przyszłości Słowian można postawić prognostyk, że nigdy nie zajmą znakomitego miejsca w historyi, *a to właśnie dla tego, że mają 6 przypadków.*“ To są prawie co do słowa przytoczone wyrazy profesora niemieckiego—wyrzeczone w obec 30 słuchaczy, między którymi znajdowało się 6 Polaków. Naturalnie, że słowa profesora wywołały z razu oburzenie, a w końcu i śmiech u wszystkich Polaków tu kształcących się. Jak bądź postanowiono szukać zadosyćuczynienia; 6 tedy Polaków obecnych na owej prelekcyi napisało list obszerny do profesora, w którym mu wykazali dowodami historycznemi, jakie to stanowisko zajmowali Słowianie w historyi powszechnej i zasługi tychże, zwłaszcza Polski, dla cywilizacyi położone—i starali się także zbić twierdzenie profesora o mnogości form w w językach słowiańskich. List ten, a raczej traktat naukowy był bardzo gruntownie napisany, wysłowienie godne i spokojne — podpisało list tychże 6 Polaków. Czy się szanowny profesór przekona o niesłuszności swego wyrzeczenia, nie wiem, gdyż dotąd nie dał żadnej odpowiedzi na list wzmiankowany.

Na „Fundusz dla ubogiej uczącej się młodzieży“ złożyli:

P. P. N. N. w obligacyach indemnizacyjnych	2.000 Zlr. w. a.
Rudolf Urbański z Dobrusina	10 " " "
Celestyna Zabilska	4 " " "
Ludwik Riedl z Sanoka	1 " 90c.
razem w obl. ind.	2000 Zlr. " "
gotówką	15 " 90 ct.

Na „Obrazy i Szkice“ złożyli przedpłatę: 118.) Marya Stadnikiewicz w Stanisławowie 119.) Józefa Jaroszyńska w Mołowodach 120.) Eugenia Jaroszyńska. 121.) Wanda Rogalińska z Tarnowa. 122.) Władysław Rogosz z Kałusza 123.) Hugo Zathey. 124.) Stanisłw Rodakowski. 125.) i Franciszek Nartowski w Stanisławowie. 126.) Stanisław Służewski w Zbęku. 127.) Maciej Czyszczan. 128.) Jędrzej Lubaszek. 129.) Rubacki Alexander w Znibrodach. Zebrani przez pana Stanisława Kunasiewicza w miejscu: 130.) Bolesław Heffern. 131.) Leon Zwoliński. 132.) Ks. Kanty, z zakonu O. O. Bernardynów. 133.) Lech Lewakowski. 134.) Adam Kuliczkowski. 135.) Franciszka Tipper. 136.) Miłosz Stengel 137) Franciszek Waligórski. 138.) Władysław Tomanek. 139.) Józef Bielański. 140.) Konstanty Pomezański. 141.) Michał Żelichowski. 142.) Walery Węgrzynowicz. 143.) Kazimierz Przestrzelski. 144.) Władysław Nanowski. 145.) Dominik Dertacki. 146.) Dr. Franciszek Kosiński. 147.) Maryanna Fettinger. 148.) Leonia Kröbel 149.) Dyonizy Sienkiewicz. 150 i 151. Kazimierz Taroni z Szasz-Regen. (2 ex.).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.